

Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY.

No. 23.

Leszno,
dnia 5. Grudnia 1840.



Albertus.

Karykatury historyczne.

(Dalszy ciąg.)

2.

Albertus. (1)

Rok 1596.

W szesnastym wieku zjawiła się u nas figura Albertusa, zyskała rozgłosne imię, i prze-

trwała do siedemnastego. Miała ona szczególny powab w narodzie, tak, że Łukasz Opaliński w przedmowie do satyr swoich mówi: „Myśla-

(1) Opisały nam Albertusa wiersze pod napisem: 1. Wyprawa plebańska Albertusa na wojnę, 1596. r. 2. Albertus z wojny; w Krakowie z drukarni Łazarzowej, roku Pańskiego 1596.; in 4to, druk goścki, sign. A. 2—E.

W. W. W. W. W.

tem, coby pisać pod te czasy w Polsce? Czy „sielanki, czy fraszki, czyli sowizrałów, Albertusów, czy bajki, czy też oracye?”

I wybrał satyry, bo czuł dobrze, że czas uderzył dla Albertusa zestarzałego, i trudno mu nadać młodzieńcze życie, krew, czucie i siłę; zszarżany poniewierką, żył sławą dawną, w młodych lecjach zyskaną.

Albertus był Klechę u plebana, miał wzrost wyniosły; rządził szkołą wiejskich żaków, i przy tém rozszerzaniu oświaty, zahartował się na nędze. Obrzydl mu ten chleb w końcu, przy którym się nieraz hartował głodem, i z radością w chęci polepszenia losu chciał zakosztować żołnierki. Coś jęć znał nieco, bo gdy się lud z Krakowa pod Byczynę z Zamojskim gotował, namówił go Węgrzyn, upodobawszy sobie, że pięknie śpiewał. Albertus myśląc, że mu będzie tylko śpiewać, z ochotą przystał, ale kiedy musiał czyścić konia, wstawać przed świtem, a gdy zaspął, korbacz rzemienny go budził, porzucił służbę, uciekł tajemnie, zostawiwszy nawet swój kancjonał, oną księgę, z której śpiewał pobożne pieśni. — Pleban wiejski, zmuszony stawić pacholka zbrojnego, namawia Albertusa: a gdy ochotnie przystał, ruszają razem do Krakowa, i na Wendecie, gdzie sprzedawano rycerzom zbroje, rynsztunki i różne towary, pocciwy pleban zaczawszy od uzbrojenia nóg, kupuje najprzód ostrogi, siodło, potem pancerz, przyłbicę, miecz i strzelbę; a gdy tę obraca Albertus, pleban się stracha, prosząc, aby nie wykręcał do niego rury. Albertus dmucha w nią, pokazując, że nie nabita; ale to pobożnego nieuspokaja kapłana: bo wierzy, że z dopuszczenia Bożego i same olstro puści. Na Kleparzu kupują starego konia, co lubo był bywały w bitwach, zostawał na łaskawym już chlebie. Albertus ciągnie tę szkapę do domu, aż go ręce zaboląły. Stanąwszy na plebanii, wybiera się nasz rycerz na wyprawę co rychłej; troskliwy pleban opatruje go w wojenne przybory. Na rumaka chudego, co stać ledwie może, pakuje Albertus w worach ćwierć grochu, pięć bochenków chleba, pół ćwierci wędzonej rzepy, zamiast fig, serów kilka, ćwierć jagieł i krup tatarskich, maki pyłowej i garnek gotowanej kapusty: ten przybór dla samego rycerza; dla konia kładzie na grzbiet półkorca owsa z sieczką, siana kilka wiązi, na których i oprzeć się może, i zasłone mieć od wiatru. Teraz już sam dosiada siodła, przywdziewa przyłbicę, wdziewa pancerz, przypasuje miecz obosieczny, zawiesza na ramię harkabuz (strzelbę) nabity kulą, chwytając długą kopiją, i żegna się z plebanem.

„Żegnam was (mówi) księżu prałacie, zostawiam tu wiele swoich rzeczy, które zachowajcie do mego powrotu. Zostawiam wam przysłowia Salomona (proverbia Salomonis) oprawne wskórę, i Katona po polsku pisanego; zostawiam kałamarnicę i dwie linie. Jeslibym zginął

na wojnie, zapisuje to dla mojej szkoły; ale się zbyt nie kwapcie, bo nie mam ochoty zginąć, i niemyślę na raz śmiertelny głowy niebezpiecznie wychylać.”

Pleban daje rycerzowi napomnienia moralne, rozczulony rycerz słucha je razem z koniem, pochylałszy głowy.

Jedź w imię Boże (prawi prałat), a z powrotem przynieś pożądaną nowinę pokoju, nie łupież biednych; a gdy staniesz do boju, na czoło nie wyjeżdżaj, ale jeśli co przypadnie do ciebie, nie przepuszczaj, i ukaż swe męstwo. Wiesz jaki oręż masz najprzód używać? Mnie się zdaje, że najlepiej kulą porazić, aźby mu we łbie zagrzmiało; a potem kopiją z konia zrzucić, wtedy łacniej mieczem głowę utniesz! Błogosławieć teraz cny rycerzu, jedź pewny modlitwy mojej.

Rozczulony Albertus bodzie ostrogami rumaka, a odebrawszy krzyżyk przeżegnania, wyjeżdża ze łzami w oczach, zwolna by na raku, za wrota plebanii.

Jedzie, jedzie, za dwa dni nie mógł ujechać trzy mile; płacze Albertus, że co trzecie stąpie nie utyka na łeb szkapę, a on się z siodłem zmykał na szyję. Spadł na pierwszym noclegu, potłukł się nie mało. Uprosił gospodyni, by mu zgrzała piwa, pół garca klusek, a gdy to zjadł i nabił dobrze sobie boki, siadł weselszy Albertus na siodło, poddawszy obroku, ale koń niechce, bo zębów niema; daje chleba, i to niepomaga; ulżywa więc mu ciężary, zsiada, idzie piechotą; po drodze porzuciwszy legumin nieco. Ale na trzeci dzień siada na siodło, z kopiją w rękę, i wlecze się, jak może. Rano nie przeżegnał się nawet, jak zwykle czynił co dzień, a nie przeżegnał, bo nie mógł, ręk wolnych niemając; prawą ręką trzymał się siodła, i w niej dzierzył wodze (lejce), pod pachą długą przytrzymywał kopiją: lewą zaś ręką musiał krzepko przyciskać worki z leguminą i obrokiem, bo przypięte były nie mocno. — Przez cały dzień biedak nawet nosa utrzyć nie mógł, a do tego gniotła go przyłbica stalowa, mało łba mu nie obłupiła, nieczuł już i szyi od ciężaru wielkiego. Cóż z nią więc robi, oto przywiązuje u pyska końskiego, sypie w nią obrok, aby rumak podsilany ciągle, mógł chociaż raz wkłus puścić nogi. Próżna nadzieja! jak idzie, tak idzie żółwim krokiem. Na domiar nieszczęścia spada Albertusowi czapka, którą miasto przyłbicy włożył; biedak wprośby, aby mu kto podniósł; niewiasty, co przechodziły, w śmiech z rycerza, przecież litościwsza podała mu zgubę. Tak zturbowany dojeżdża do Bochni, mija błoto, ale gorzej trafił, bo zrumakiem w głębszy dół wpada. Przyciska mu koń nogę, gniecie go ciężar zbroi, daremnie rata woła, nikt nie ratuje; porzuca więc rynsztunek, zostawia but z ostrogą pod koniem. Żal mu rumaka, na którym tyle przebył drogi; już się

przywiązał do niego, a chociaż pewny jego polności, nie dowierzając mu, żeby czasem nie bryknął i nie uciekł, staje nad nim, cmoka zwolna, ale daremnie. Nadjeżdża kmięć w parę wołów, więc postronek zakłada za szyję, woły go ciągną, Albertus woła, ciska kamieniem, ale koń był tak ospały, właśnie jak ten, co nie śpi tydzień, a dopadnie pościeli. Jak woły szarpną rzeźwiej postronkiem, zadusiły bachmata, co i tak ledwie dyszał.

Tak straciwszy rumaka, furmanom sprzedaje zbroję, bo zbłocony kaftan, jak usechł, mógł mu za pancerz służyć, za przyłbicę czapka, sama z kopiją, mieczem, i rusznicą, wsiał na brykę pod łubem (nakryciem) i jak w karecie pojechał. W Proszowicach musiał wypocząć, bolały go wielce pięty, że bódł ustawicznie swego bieguna; tu umiając śpiewać, zarobił nieco grosza, napił się dobrze, bo przychylne szynkarki darmo częstowały. Wędrował wszakże dalej, i dostał się wkrótce do obozu. Tu pamiętny słów plebana, aby umiał oszczędzać zdrowie i życie, nie wyskoczył nigdy na harc, do bitwy nie stawał, bo gdy trąby dały hasło, rozumny Albertus uciekał z pola, i gdzie przy plebanii prześpiewał czas walki; kiedy zaś ujrzał zwycięztwo rycerstwa, dostawszy ze zdobyczy lepszego konia, biegał co tchu na pole, obdzierać poległych, i dzielić się łupem. Tak przyszedł do grosza, do pięknej zbroi; a gdy po bitwie przy ogniskach towarzysze rozprawiali o bójce, słuchał pilnie Albertus szczegółów, spamiętał je dobrze, opowiadał potem drugim, nie widząc bitwy, ile dokazywał, wielu zabił Tatarów, ile łupu zdobył, chociaż ten łup miał z obdartych trupów. Po skończonej wyprawie nałapawszy po wsiach kur kilka, przytrokował do siodła i zminą junacką, powitał plebana, który radował się wielce z powrotu swego żaka; tu prałatowi opowiedział swe wyprawy, trudy i niewczas, ofiarował kury zdobyte, a pokazawszy się na rynku w Krakowie we zbroi, jak rycerz znadętą miną, wrócił do plebanii, począł uczyć żaki wiejskie, odebrawszy nietknięty kałamarz, liniję i oprawne waskorę „Proverbia Salomonis,” i Katona księgi.

Taki jest bieg żywota i przygód rycerskich naszego Albertusa, którego imię powtarzano przez sto lat potem z górą ustnie i pismem. Do imienia Albertusa przywiązano nieodłączne wyobrażenie bojaźliwego żołnierza, tchórza, dragala niezgrabnego; i tak powstała swojska karykatura, co bawiła wiele pokoleń naszych ojców i pradziadów. Fabijan Birkowski, sławny kaznodzieja, co oświał w obozach, pokazując na bojaźliwych, co na samą wieść o Tatarach uciekali, mówi: „Owo! czyż to nie bieży jako Albertus z wojny?”

I oddał Albertusa figurę wyciągano na scenę

staroświeckich widowisk, zachowując właściwy mu charakter. Występował Albertus po starożołniersku w jakiejś katance, (2) ściśle się przyjaźnił z Konfederatami i żołnierzami, uważając siebie jako ich towarzysza, prawil o swoich wyprawach zwycięzkich, o mężstwie, co dokazywał, jakim był rycerzem. Dopomagał im kraść kury, wydierać kmiotkom chleb i zboże, umiał ich bronić, jeśli nie siłą, to wymową, a jako nauczyciel szkółki wiejskiej wiele między nimi doznawał powagi.

A tak od roku 1596., kiedy się zjawił Albertus, właśnie w te czasy, gdy Zygmunt III. na okręcie na bałtyckie morze wypłynął po szwedzką koronę, której nigdy na skronie nie włożył, i synom swoim czczy tytuł wpuściłnie zostawił, aż do czasów Jana Sobieskiego, był karykaturą powszechnie znajomą w narodzie. Wkrótce po swoim zjawieniu za czasów Zygmunta III., wywołał figurę Matyasza, który już nie tyle zajmuje, jako więcej naśladowca Albertusa, przedtę też zapomnianym został. Co mówi przysłowie o Matyaszu, że

„Przyszła kręska

Na Matyska;“

toż samo spotkało Albertusa, lubo tak znajome i rozgłosne imię nosił. Starzał się on powoli, lubo żył dłużej, niż każdy inny człowiek, zpozwieczniał; a gdy pleśń stu lat z górą poczęła go okrywać, daremnie chcieli niektórzy poeci za ostatniego Wazy, i jeszcze później, wskrzesić pamięć Albertusa; już nie mógł zmartwychwstać; zmarł, i pogrzebion pod mogiłą zapomnienia!

(Dokończenie nastąpi.)

Ustęp z opisu mojej podróży w Karpaty.

Z dziwnym smutku uczuciem opuściłem Kraków, dawną Piastów stolicę. Sam nie wiedziałem, jak siedm dni mego pobytu w tym dziś smutnem mieście przeplęnęło. Słońce się miało ku zachodowi; jaskrawe jego promienie ozłacały wierzchołki wież licznych Krakowa kościołów; luba mgła wieczorna wznosząc się nad miastem trzech mogił, jak w grobowe powlekała je przesieradło, a smutny, przerażający ton Zygmunta, daleko z wawelskich wież się rozchodząc, brzmiał jak głos pogrzebnego dzwo-
nu, nieznanem duszę przejmując uczuciem. Już było znikło wmgłę i oddaleniu miasto, a jeszcze ten głos, jak jęk podziemny, długo, długo słyszeć mi się zdało. A za tym głosem myśl pobiegła tam daleko w przyszłość, szukając na jej posępnem niebie choć jedną nadziei gwiazdeczki, i znalazła ją, lecz małą, nieznaczną, ledwie promieniami swymi grubą mgłę nieszczęść przebijającą. A potem znów wróciła w daleką przesz-

(2) Komedia rybałtowska 1613.

łość, a na jej jasnym niebieskim przezroczu tysiące lubych wspomnień jaśniało, i jeszcze bardziej smutek terażniejszości pomnażały. Tak dumając, przyszedłem do Wieliczki. Nazajutrz obejrzawszy saliny, których tu opisywać nie będę, gdy tyle innych i lepszych jest opisów, które wszakże temu, co kopalni nie widział, nie na wiele się przydadzą, raz jeszcze tęsnem okiem na oddalony rzuciwszy Kraków, ku Karpatom, których dalekie szczyty szarawo na czystym tle niebios się malowały, obróciłem. Spokój, jaki w całej panował naturze, i śliczne widoki, które się za każdym krokiem, nie tracąc piękności, zmieniały, i w mojej duszy zatarły wszystkie wczorajszych myśli ślady i wesoło ztowarzyszami ku starym ruszałem Tatrami. Od Myślenic, miasteczka o 4 mile pocztowe od Wieliczki odległego, już się prawdziwe zaczynają góry i pierwsi natrafiają Górale. Właśnie w miasteczku był jarmark, a zatrzymawszy się nieco dla odpoczynku, dosyć miałem pory napatrzenia się ruchowi ulicznemu. Zebrani razem w tym granicznym niejako obu szczepów mieście, Krakowiacy i Górale, zabawny i interessujący przedstawiali widok. Pierwszych żywość, obrotność, gadatliwość i wesołość, pięknie odbijały od góralskiej, że tak powiem powagi, posępności, a nawet niejakię ponurości, którą jeszcze ich czarne burki i kapelusze, po części nadzwyczaj szerokie, pomażały. Jak w charakterze, tak i w wzroście, kształcie i ubiorze różnymi byli od siebie, gdy jednak różność ta zapewne z innych opisów dobrze już znana, niebawiac się nad jej wystawieniem, lepiej dalej, już niecierpliwy jak najprędzej na śnieżne Tatry wnieść szczyty, poruszam. Nad strumieniem Raby, po którego obu brzegach zielone, to starymi świerkami porosłe, to pojedynczymi chatami lub całymi siołami zasiane góry, z których czasem siwy granit ciekawą podnosi głowę, się wznoszą, romantyczną nadzwyczaj okolicą, ożywioną nadto gwarem powracających z targu Górali idąc, rażno, wesoło, to od ciekawych zaczepianych, to sam przechodzących zaczepiając, na o milę oddalony spieszyłem nocleg.

W karczmie, ile żydowskiej, dosyć jeszcze porządnej, mało kogo zastałem. Dziwiło mnie to poczęści, jako przyzwyczajonego u nas widzieć wieśniaków po odpuszcie, lub targu, do każdej nieomal wstępujących karczmy; a że jeszcze nieco czasu pozostawało do wieczora, złożywszy tłumoczek, na przechadzkę, w góry się puściłem. Ledwom się o kilkaset kroków od karczmy był oddalił, gdy spotykający mnie Góral ostrzegł, żebym się schronił, gdyż niebawem nadciągnie nawałnica; jakoż niedługo daleki groźny pomruk grzmotu słyszeć mi się zdało. Ucieszony poczęści z widoku, którego używać miałem, powróciłem, by jednak lepiej burzy się przypatrzeć, pod szopą, zasłonięty od deszczu, przyjsia jej czekałem. W krótkie chmura

nadciągnęła i jasne błyskawice czarne zaczęły pruć niebo, deszcz lunął strumieniem, spienione potoki szumem wkipiące spadały Raby nurty, a pośród wzburzonej natury groźne piorunu gromy, straszliwem echem napełniając okolicę, straszny, lecz pociągający zarazem całej scenie nadawały urok. Tymczasem nawałnica zgromadziła dosyć znaczną kompanią Góralów do karczmy, a ja napatrzywszy się do woli na burzę, którą i najstraszniejszej naszej przyrównać nie można, wróciłem do karczmy, aby tam podobnego, lubo nieco spokojniejszego używać widoku. Rozmarzeni gorzałką Górale, każdy z króciutką luleczką w ustach, lubo gwarnie, daleko jednak spokojnie od naszych sprawowali się wieśniaków. Ten rodzaj melancholii, z którą jednakże harmonijnie się łączy wszystkim sławiańskim ludom wspólna wesołość, leży poczęści w ich charakterze, poczęści pochodzi z ucisku, w jakim panowie ich trzymają, na który i przed nami i sami między sobą dosyć się skarżyli. Bo uważałem, że ci, co wolniejszego używali bytu, o wiele od drugih byli weselszymi i żywsiymi. A dzielą się, że tak powiem, co do stanu, na trzy klasy, tak zwani *Szoltysy*, najmajętniejsi, po większej części są zubożałą szlachtą, nie zawisłą od panów, mający swoje szałas i trzody w górach. *Siodłacy*, równi naszym dawnym pańszczyzną odrabiającym gospodarzom, i *Komornicy*, z których dwaj ostatni najbardziej uciężeniu podlegają. Może też i te uciski są przyczyną ich bojaźliwości z jedną, a mściwości i zaciętości z drugiej strony. Ztém wszystkiem bardzo są gościnni i uczynni, bezinteresowni i niechciwi, a najbardziej do swęj ojczyzny, lubych gór, przywiązani. Dziwiło ich to niepomalu, że dla widzenia tychże, tak daleką odprawialiśmy podróż, lubo ich to, o ile uważać mogłem, równie cieszyło, że tak daleko słynie ich rodzinna ziemia. — Wszedłszy z niektórymi węgierskimi Góralami w rozmowę, którzy sprzedawszy żelazo, z targu do domu wracali, tak ich prostota, poczciwość i szczerością ujęty zostałem, że ile zjadącymi ku Morskiemu Oku, z nimi resztę podróży odprawić postanowiłem. Krótki był nasz targ, który zobopólna rozstrzygnęła szczerość, i ledwo wschodzące słońce zielone gór szczyty pozłacać zaczęło, kiedy już z nowymi towarzyszami na małym wózku puszczałem dalszą podróż. I muszę wyznać, że żadna mi nigdy tak wesoło nieschodziła droga. Piosnki ich różne od naszych wielkopolskich i krakowskich, jawnie w przeciągłych tonach okazującą się posępnością, więcej do ruskich miały podobieństwa, więcej też do duszy przemawiać mi się zdawały. Tak tedy, co mnie nadzwyczaj dziwiło, bardziej, niż na równinach osiadła okolicą jadąc, piosnek i bajek o skarbach ukrytych w Babięj i innych Tatrów górach, opryskach i t. p. słuchając, nagle z lasu wyjechawszy, długi łańcuch Tatrów



Widok Karpat.

wyraźnie już zoczyliśmy. Wyprzedziła je wszystkie Babia góra, jak strażnica naprzód wysokie wznosząca czoło, a za nią długim rzędem białymi szczyty ku niebu wystreliły Tatry. Widozna nieomal radość malowała się w twarzach pocziwych Góralów, między mnogimi wierchołkami rodzinnej wyszukujących góry, a i nam zbliżonego już celu podróży niemało radości przybyło. Lecz niezwyčajnym tego widoku, co o mil siedm oddalonym było, ledwo dwie mile dalekiem się zdawało. Zmuszeni tedy noc jeszcze jedną w wiosce o pięć mil od Morskiego Oka odległej przepędzić, nagrodzeni po części za tę zwłokę zostaliśmy spotkaniem cygana. Pierwszy to był, którem w życiu mojem widział, ale na pierwszy rzut oka byłbym go jako takiego poznał, bo nadto odpowiadał opisowi Książnina:

*A za nami wszędzie nędza, † Ej chłodno i głodno!
Od wsi do wsi nas popędza. † Chociaż chłodno i głodno
Ale żyjem swobodno.*

Bystry żywych i czarnych oczu wzrok, płeć nadzwyczaj śniada przy kędzierzawych wełnastych włosach, szczególna żywość, śmiałość, natrętność i obrotność, połączone z atletyczną siłą w małej nieznaczącej postawie, okrytej oprócz płóciennego spodniego odzienia grubym kocem węgierskim, oto cały cygana kończyły obraz. Ubawiwszy się tedy z nim do woli, rychło na spoczynek się udaliśmy, aby tém prędzej nazajutrz w dalszą puścić się drogę. Prawie zsmut-

kiem rozstałem się z pocziwymi mymi towarzyszami Góralami, i bez żadnego przypadku spieszo ku Morskiemu dążyłem Oku. O milę od tegoż ostatni raz wszalaś się wypocząwszy i wzięwszy przewodnika, dzikiem, uciążliwym, a czasem i niebezpiecznym bezdrożem idąc, nad wieczorem u Morskiego byliśmy Oka. Już zmrok się poczynił, kiedysmy przyszli namiejsce, a pożegnawszy przewodnika, obejście stawów na jutrzejszy odłożyliśmy dzień, a tymczasem w wystawionej umyślnie dla gości chacie, w której wszakże nikt nie mieszka, o trzy mile od pierwszego oddalenia siola, przy rozpalonym ogniu smaczno na twardych zasypialiśmy ławach, i późno w dzień dopiero się przebudziliśmy. Na nieszczęście pozazdrościło nam słońce swego światła, a natomiast gruba nieznana wzniznach mgła, która i najbliższych nie dawała dostrzedz przedmiotów, cały ogarnęła widnokrąg. Czekać zatem, aż się trochę rozjaśni, naprawialiśmy tymczasem tratwę, dla przewozu po Morskiem Oku zbitą. A wtém też i mgła nieco ustąpiła, a my wesoło rzuciliśmy się do wiosel, by copędzej przez Morskie Oko się przeprawić. Jest to staw podługowaty¹⁾, ze wszech stron wysokimi granitu skałami okolony, na których tylko niski kosodrzew i licha trawa tu i ówdzie się puszcza. Nazwisko Morskiego Oka dostał podług podań Góralów dla tego, że ma związek z morzem, i że na jego dnie szczątki okrętów

(1) Zob. P. L. r. VI., N. 1.

znałość miano, jak ja mniemam, dla nadzwyczajnej głębokości, która w niektórych miejscach 37 sążni dosięga. Woda tego stawu nadzwyczaj zdaje się zielona i podobno niezdrowe zawiera pierwiastki, lubo ja, który dosyć jej się napiłem, tego bynajmniej nie doznałem. Przepłynawszy Morskie Oko, śmiało pod spadzistą, kilkaset sążni wysoką granitową skałą, po której szarym boku pieniać się biała lała się kaskada, bez drogi i przewodnika, ku Czarnemu dążyliśmy stawowi, i nareszcie nad jego ujrzelśmy się brzegiem. Mniejszy o trzy razy może od Morskiego Oka, z resztą zupełnie mu podobny, głębszy jednakże jest bez porównania, a zupełnie już nagie, w rozpadlinach odwiecznym śniegiem pokryte skały, dzikszys jeszcze przedstawiają widok.

Rzuciwszy okiem koło siebie, dziwne w mej duszy obudziłem myśli. Te tatry, tak długo i wytrwale już wytrzymujące wszystkie groźne nawałnice, bolesne lecz i pocieszające zarazem wywołały w mem sercu wspomnienia. Pomostem podemną leżące odwiecznych świerków konary, niewyznaczają wicherów wywrócone wściekłością, już inne, zielone, młodociane puszczały szczepy, które dłuższą nad ojcowską zapowiadać się zdawały bytności.

Te dwa stawy wydawały mi się w tej chwili smutnemi gór oczami, szerokimi łyż lejącymi strumieniami, gdy tymczasem stare skały, których ściany grubo, już to zwietrzałem, już od pionów zwalonem granitów rumowiskiem osute były, dumnie i groźno, aż po za granice wściekłych chmur, z szumem o twarde ich boki się rozfrakujących, białe kończate podnosiły szczyty. A pomiędzy całym tym dzikim zniszczenia i niewzruszonej wytrwałości obrazem, równie trwały znak zbawienia, na ostatnim najwyższym krańcu naszej ziemi wzniesiony (1), silnie zapewne do duszy czującego człowieka przemawiać musiał. Tak i do mnie przemawiał, tak ja dumałem, kiedy wtém nagle powracająca mgła, usunawszy wszystkie z oczu przedmioty, szybko powracać kazała. Zeszliśmy i za kilka godzin już daleko za nami było Morskie Oko, już znowu tylko niewyraźnie ciemne gór szczyty z pośród zamglenia sterczały, ale choć dziś i czasu już dosyć minęło, i droga do niego daleka, jednak widok Morskiego Oka wtenczas i uczucie, którego doznał, jak dziś żywo pamiętam, tak i później nie tak prędko zapewne w mej duszy zaginie.

Zimowa noc.

(Dalszy ciąg.)

„A co się stało z panem Bigierem, doktorem Francuzem? to rzecz wysmienita.

(1) Nad brzegiem Czarnego stawu stoi krzyż żelazny, w skalę wpuszczony, wr. 1835. przez biskupa łwowskiego tam wystawiony.

Pan Bigier był doktorem przy którymś półku gwardyi cesarza Napoleona, wzięty w niewolę na Litwie, a potem oddany na porękę panom Stolnikowiczom Fiedorowiczom z Połowcina; był zapamiętały Napoleonista.

Raz pamiętam, pani Stolnikowa mówiła do pani marszałkowej Trzeciakoviej z Adampola, o panu staroście Bachtyńskim:

„Temu wszystkiemu to stryjaszek winien! —“

Bigier porwał się z miejsca, a źle mówił po polsku, i zawsze przekreślał, bo ledwo pięte przez dziesiąte rozumiał.

„„Tak temu brawo, pani Stolnik. Austriacyk zdrajca Napoleona.““

Otoż pan Bigier jeździł po okolicy, i namawiał, ażeby Polacy porwali się do broni, i bronili Napoleona podówczas składającego koronę we Francyi.

Pan Bigier bywał częstym gościem w Biczowcy.

Raz tam przyjechał, i tylko co rozgadał się z panem Szuszkiewiczem o swoich zamiarach, aż tu zabrzękały pocztowe dzwonki, i wpadł do dworu Zasiedatel w mundurze, przy szpadzie z dwoma żołnierzami.

Jak dym wprost do pana Bigiera przystąpił, pokazał mu papier po ukazie cesarskim, polecający, aby zabrał Francuza Bigiera, jako politycznego przestępcę tam, gdzie mu kazano.

Pan Szuszkiewicz chciał go przekupić, ale daremna rzecz; Zasiedatel oświadczał, że to jest tak ważny więzień, iż gdyby go wypuścić, natychmiast zostałby rozstrzelany; z początku Bigier się srożył, po francuzku przeklinał, ale potem spuścił nos na kwintę, i porządnie stchórzył.

Zegnal się z panem Gracyanem, jakby na tamten świat wyjeżdżał, i pan Gracyan jak bóbr płakał, aż Zasiedatel się rozczulił, i przyrzekł grzecznie obchodzić się z więźniem w drodze.

Wsadzono Bigiera w kibitkę tak ciemną, że najmniejszą szparką światło tam niedochodziło; Zasiedatel i jeden żołnierz siedli obok niego i ruszyli.

Biedny Bigier świata Bożego nie widział, tylko słyszał, jak dzwonki mu brzęczały w uszach, i kibitka tak stukotała, że o mało mu kiszek z brzucha nie wytrzęsła. Na stacyach duchem przepiegano konie, a Zasiedatel i żołnierz nieruszali, tylko bardzo rzadko z miejsca, i to wtenczas więźniowi zawięzywano oczy. Jeść mu się nie chciało, i spać nie mógł. Nie mógł rozpoznać, wiele dni i nocy tak jechał, ale już zaczął czuć sibirskie zimno, kiedy kibitka stanęła i wtrącono go do ciemnego więzienia.

Więzienie było obszerne, ale bez podłogi, tylko trochę słomy namacał na posłanie; dano mu kawał suchara i kufel wody. Francuz rozmyślał o Napoleonie i gotował się do śmierci, kiedy nagle usłyszał głos cichy:

„Bigier! Bigier!“

Spojrzał, i spostrzegł u góry trochę jasności w malutkiem okienku, które się otworzyło.

„„Kto taki?““

„Ja Szuszkiewicz.“

„„Co, ty tu, tak nieszczęśliwy jak ja?““

„Nie, jam tu za tobą w ślad przyjechał, żeby ciebie uwolnić.“

„„Pocziwy Gracyanie, w jaki sposób?““

„Ot masz rydel, kop tu wprost pod oknem, a ja czekam z końmi i uciekniemy.“

„„A jak mnie złapią?““

„Niebój się, ja przekupiłem żołnierza co tu stoi.“
Spuścił mu rydel.

Francuz kopnął a kopnął, gorący pot go oblewał, a drżał, żeby go kto nie postrzegł; kopie, słucha, nic niesłyszysz; kopie dalej, nareszcie zdało mu się dosłyszeć tentnienie konskiego kopita; nadzieja wstąpiła w serce, większą siłą kopie; słyszy głosy ludzkie, zataił się; zdaje mu się, że rozpoznaje głos pana Gracyana.

Już dzień, a jego jeszcze nie ma.

Całych sił dobył, kopnął, ziemia się usunęła, światło dzienne widać, kopnął raz, drugi, i już na wolności: patrzy, oczom swoim nie wierzy, gdzie się znalazł.

Na dziedzińcu w Biczowej, koło spichlerza; pan Gracyan i mnóstwo gości go witają, między niemi Zasiadatel i żołdaci, to był kamerdyner i kozacy pana Gracyana.

Biednego Francuza woził koło dziedzińca, i w spichlerzu zamknęli.

I gniew i śmiech go porwał.

„„Bógdajby ciebie djabeł wziął za twego żartu.““

Książd Jacek skończył, a myśmy prosili o jeszcze.

„No, jeszcze wam jedną powiem, ale potem basta, bo już i dzień się robi, ja słyszę, jak koguty pieją na doświtki.“

(Dokończenie nastąpi.)

O wydaniach dzieł historycznych przez

Edwarda hr. Raczyńskiego.

(Dalszy ciąg.)

Aby zatem to pismo, któremu do właściwie pragmatycznej historii wiele jeszcze przymiotów niedostaje, przynajmniej za całkowitą kronikę panowania Kazimierza Wazy uchodzić mogło, powinien być jeszcze wydawca, brakujące części z Kochowskiego i Rudawskiego wypełnić.

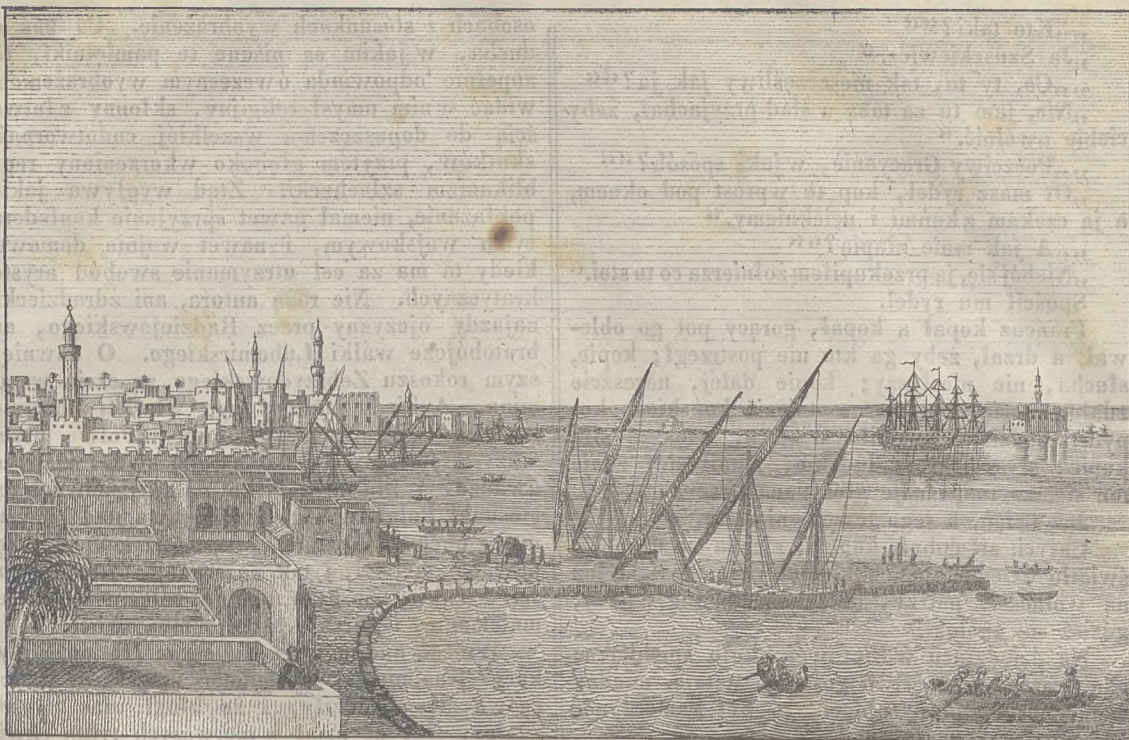
Najciekawsze są w tym dziele sceny i przymówienia między głównymi dramatu ówczesnego aktorami, jako to: królem Kazimierzem, królową Ludwiką, królem Karolem Gustawem, elektorem Fryderykiem Wilhelmem, carem Alexym, Bogdanem Chmielnickim, Stefanem Czarnieckim, Jerzym Lubomirskim, Janem Sobieskim, Prymasem Prażmowskim; rosyjskimi wodzami: Chowańskim, Dołgorukim, Szeremetiewem, Kozłowskim i t. d. Nie jeden z tych miejscowych zarysów dokładniejsze nam daje o ówczesnych

osobach i stosunkach wyobrażenie. Co zaś do ducha, w jakim są pisane te pamiętniki, ten zupełnie odpowiada ówczesnym wyobrażeniom; widać w nim umysł religijny, skłonny złatwością do dopuszczenia wszelkiej cudotworności skutków, przytęm głęboko wkorzeniony republikanizm szlachecki. Ztąd wypływa jakieś pobłażanie, niemal nawet sprzyjanie konfederacyom wojskowym, i nawet wojnie domowej, kiedy ta ma za cel utrzymanie swobód arystokratycznych. Nie rażą autora, ani zdradzieckie najazdy ojczyzny przez Radziejowskiego, ani bratobójcze walki Lubomirskiego. O dawniejszym rokoszu Zebrzydowskiego ze czcią wspomina. A kiedy podług jego własnej powieści rosyjscy więźnie, lub posłowie w Polsce, przed wszystkiemi sławę tylko narodu swego mają na uwadze, i dla niej tylko pałają; zewnętrzne stosunki Polaków i ich zwycięstwa nad obcymi, mniej obchodzą autora, jak utrzymanie nieskrępowanej elekcyi, i tak nazwanej *złotej wolności*. Takie też było ogólne szlachty polskiej mniemanie, i gorzkie też zrodziło owoce.

Widząc autora utrzymującego: że po abdykacyi Kazimierza zwaśnione umysły w Polsce znowu się pogodziły, i że błogi czas nastał, zdałoby się, że pisał w pierwszych tylko chwilach tak osławionego później panowania Michała. Ale w innem miejscu wspominając o chorążym koronnym, Janie Sobieskim, dodaje: ten co później był królem, zkądby wnosić wypadło, że nie tylko za króla Jana, ale później dzieło swe pisał. Zaiście trudne są takie objaśnienia, bo nie jedna taka parenteza mogła przez przepisywaczów później być dodaną, co tylko jest nowym dowodem, ile podobne wydania uwagi i dokładności wyciągają.

W ogólności dzieło to zajmujące jest dla każdego, którego dzieje kraju obchodzą, i wielorakie nastroczą uwagi. Zdaje się, że niższe w strategicznym względzie od szwedzkich wojska polskie, znaczną jeszcze wyższość nad rosyjskimi zachowywały. Smutny nader jest opis owęj bitwy pod Montwami nad Notecią, gdzie Polacy przeciw Polakom walczyli, kiedy niestawało wojska dla dania oporu zewnętrznym nieprzyjaciółom. Oplakany też widok owego rokoszu, czyli konfederacyi wojskowej pod Zgromskim, wyłamującej się z pod prawnej zwierzchności, i zbrojną ręką wszystkie koronne, duchowne i obywatelskie majątki w sekwestr biorącej, dla wycisnienia z nich należnego wojskowemu żołdu. Ale w rękę dzielnego i zręcznego króla to samo niesforne żołdactwo stać się mogło narzędziem do zaprowadzenia wojskowego despotyzmu. Te bowiem wojownicze tłumy chętnieby służyły każdemu, któryby im żold zapewnił; a tak wymuszone wojskowym trybem finanse, dałyby zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi wewnętrznymi, i ustaliłyby sławę, tudzież istność narodu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Widok Alexandryi.

Alexandrya.

Wszystkich oczy zwrócone są dziś na stolicę Mehmeta Ali, Alexandryę: wyrzekł bowiem dumny Muzumanin, iż tutaj chce oczekiwać wypadków wojny, rozpoczętej z mocarstwami połączonemi Europy. Dla tego podajemy Czytelnikom naszym widok tej stolicy z krótkim jej opisem.

Alexandrya, leżąca na brzegu morskim na 9 lub 12 mil wstronie zachodniej Nilu, bardziej do pustyni libijskich, niż do Egiptu należy. Jeden kanał dostarcza jej wody w czasie wezbrania Nilu, zmuszeni więc są mieszkańcy zachowywać ją w cysternach i studniach, które są zabytkami dawniej wspaniałości miasta. Okolice Alexandryi pusta i nie urodzajna; tu i owdzie tylko spotrzegasz dziś krzewy zielone i palmowe drzewa. Kanały, użyzniające niegdyś całą tę smutną krainę, są dziś zupełnie zaniedbane, bo przemysł, co je wznioł, dziś zupełnie leży odłogiem.

Alexander W. dał początek miastu temu; pod Ptolemeuszami do najwyższego stopnia doszło potęgi i znaczenia; później opanowane przez Rzymian, do środka siódmego wieku hołdowało wschodnim cesarzom. Arabowie pod wodzą Omara zdobyli Egipt; Alexandrya legła po większej części w gruzach z ową sławną z czasów Ptolemeuszów księżnicą, a pod tureckim panowaniem coraz bardziej upadać zaczęła. Dzisiejsze miasto na inném stoi miejscu, jak gród przez Alexandra W. wzniesiony; wystawione jest między dwoma portami, zwanemi *starym i nowym portem*, w miejscu, gdzie była dawna grobla, łącząca Pharos z stałym lądem. Ulice ciasne, i jak zwykle w miastach wschodnich, niebrukowane; domy wysokie i ciemne. Lud ubogi, wycieńczony podatkami, bez przemysłu i handlu, bo ten wręcz się cudzoziemców znajduje.

Na szczególniejszą uwagę zasługują rozwaliny dawnego miasta, rozciągające się nad brzegiem, i wgląd

kraju w znacznej rozległości. Wieże, połączone murami, są dziełem Arabów; w późniejszych czasach, kiedy wspaniałe budowle z czasów świętych w gruzach legły, użyto kolumn i innych szczątków, noszących na sobie znamiona, iż były dziełami mistrzowskiej ręki, do rozmaitych warowni, gdzie ich oko miłośnika starożytności wyszukiwać musi. Podziwiane bywają dziś jeszcze ruiny sławnego pałacu Kleopatry. Przeglądając ruiny Teb, Phile i innych miast, pokazuje się, iż Egipcjanie stawiali swe obeliski nie na środku placów, lecz po bokach bram główniejszych. Podobna zatem do prawdy, iż Kleopatra tymże sposobem postawiła dwa sławne obeliski, jej miano dziś jeszcze noszące, sprowadziwszy je z innej okolicy Egiptu, w celu przyozdobienia swego pałacu, bo za jej czasów już nie ryto hieroglifów na pomnikach publicznych, a nawet był już wtedy klucz do ich zrozumienia zaginął. Drugą pamiątką z świętych Alexandryi czasów jest kolumna Pompejusza, na miejscu wysokim stojąca, z jednego kawała granitu, 114 stóp wysokości mająca: widok ztąd na Alexandryę i dwa jej porty zachwycający. Fundamenta jej nadwerężone znacznie, lud bowiem zabobonny, myśląc, że w pomnikach tego rodzaju wielkie przechowywano skarby, szukając ich, podkopał kolumnę. Warownie Alexandryi, mianowicie cytadele broniące portu, do najobronniejszych na wschodzie należą; najeżone są tysiącami dział, pomiędzy któremi wiele znajduje się kamiennych nadzwyczajnej wielkości.

W bliskości Alexandryi znajduje się góra nad samem morzem, gdzie dawniej była Kanopa, z zamkiem obronnym, *Abukir* nazwanym, sławnym nieśczęśliwą bitwą Francuzów z Anglikami.

Beduini różnych pokoleń pastuszą ciągle okolice Alexandryi, i ponieważ stałych niemają siedzisk, wszelkie kroki Mehmeta Ali naprzeciw nim przedsiębrane, nie mogły dotąd napadom ich położyć końca.